

Kto to jest? Wyteżył myśl, przypomniał znajomych, tylu ich miał.

A!... coś z bardzo dawna... Pan Andrzej, u którego rodziców, we dworze, służył jego ojciec.

Franek był zawziętym wrogiem „burżujów“, na tyle krzywd się „napatrzył“.

Ale pan Andrzej, to jeszcze z jego dawnych, dawnych lat, kiedy był jeszcze smarkaczem, kiedy krowy pasał.

Młody panicz nauczył go czytać, wymógł na Frankowym ojcu, że go do szkoły posłał, książki mu kupował wreszcie ten pan Andrzej dał mu sto rubli na ożenek, a jego dziewczęce na ślubną sukienkę.

Z biegiem myśli Franek kroku przyspiesza, żeby się z panem Andrzejem zrównać.

Ale jak tu podejść, jak zagadać, jak się uklonić? Zawszeć to burżuj. Ale już na Placu Trzech Krzyży dogonił i podszedł.

— Moje uszanowanie panul

Obejrzał się pan Andrzej, nie poznawał.

— Dzień dobry, ale...

— Jestem Grzelak, z Wólki, a pan Andrzej nie poznaje—zapytał Franek.

— A — mile się zdziwił — to Franek. Serdecznie doń rękę wyciągnął. — Ale dawniej inaczej się witaliśmy.

— Jak? — spytał Franek chmurniejac.

— Niech będzie pochwalony...

Coś go drgnęło. Jeszcze bardziej spochmurniał. — To dawniej — niechętnie mruknął.

— No nic, cóż porabiasz, Franku?

— A, pracuję, mam dzieci, Józka zdrowa — i tyle.

— Czy chcesz ze mną pogawędzić dłużej? Jeżeli tak, wstąp do mnie na chwilę, idę właśnie do domu.

— Chętnie.

I po kilku minutach weszli do mieszkania pana Andrzeja.

— Chwilowo mieszkam po kawalersku, żona u swoich rodziców w majątku — mówił prowadząc Franka do salonu. — I cóż u ciebie? U mnie. bo się dużo zmieniło. Rodzice pomarli, brata jednego, wiesz, pana Zygmunta, bolszewicy zamordowali, a młodszy, Henryk, zginął — od „bratniej kuli“ — w maju.

Franek jeszcze bardziej spochmurniał. On wtedy, z bojówką, też był na ulicy. Chciał, nie wiedzieć czemu, usunąć się spojrzeniem, zwrócił oczy ku ścianom. Na nich porozwieszane były portrety rodzinne, a z nich wyjrzały nań oczy nieboszczyków, starszych państwa, rodziców pana Andrzeja. A dalej, choć nieznajome twarze, odgadł, to byli dziadowie. Marsowe, ale czyste, jasnością przyobleczone twarze. I zagadały mu te portrety o jego latach dziecięcych. I jego rodzice odumarli. Zagadały mu te twarze o jego wiosce rodzinnej, a kiedy se ją wspomniął, zaleciał go zapach zbóż, głos matczyny usłyszał, szcęk kos i sierpów — i Magdy, znajdy, co była u nich na wychowaniu, głos go doleciał i Józki, na chórze kościół, śpiewanie. Ujrzał ją, taką młodą, świeżą dziewczuchę, jak powłóczyście, jak wiernie, kiej pies patrzała na niego.

Pan Andrzej w szkolnym mundurze mu stanął i ta łaka, na której siadywali, kiedy go pan Andrzej lekcji wysłuchiwał.

Tak mu dużo, dużo, te portrety zagadały.

Rozmowa toczyła się swobodnie. Ni o polityce, ni o partjach. O dzieciach jego, o dzieciach pana Andrzeja, a ma ich też dwoje, o pracy. Pan Andrzej jest inżynierem. Zastój, ale jakoś idzie. W majątku gospodarzy panna Irena, dziś już zameżna.

Już się dawno zciemniło, a oni sobie przy herbacie gwarzyli swobodnie, żywo bo pan Andrzej z przyjemnością oddawał się miłym, dobrym kochanym wspomnieniom.

(d. c. n.)